Rok I. Nr. 1 2.
Styczeń-Luty 1933.
Redakcja i Administracja:
Wilno, ul. Uniwersytecka 9-9
czynna
pon., środy, piątki g. 19-20.
Cena pojed. numeru 20 gr.



MIESIĘCZNIK
POROZUMIENIA
AKADEMICKICH
KATOLICKICH
STOWARZYSZEŃ
WILNO



Życie wysuwa dziś cały szereg zagadnień i problemów, dla rozstrzygnięcia których podawane są różne możliwości mniej lub więcej trafne, mniej lub więcej realne. Człowiek dzisiejszy wtłoczony został w orbitę palących zagadnień życia współczesnego i niezależnie od swojej woli więcej niż kiedykolwiek ulega ogólnemu prądowi, nie zdając sobie nieraz z tego sprawy.

Nieraz, i to coraz częściej, tracimy orjentację, stwierdzając tylko, że zachodzą fakty oburzające, sprzeczne z naszą etyką, którym jednak nie możemy się narazie przeciwstawić. Świadomie, czy podświadomie odczuwamy krzyczącą niesprawiedliwość dzisiejszych stosunków, a jednak stoimy wobec nich bezradni.

Człowiek XX wieku, który opanował niemal cały świat, zdaje już sobie w tej chwili sprawę z tego, że osławiony jego postęp jest rozpaczliwie jednostronny. Rozwój w dziedzinie techniki dochodzi do szczytu, rozum człowieka rozwiązuje najzawilsze zagadki natury, a w dziedzinie nauki zdobywa coraz nowe prawdy. Zdawałoby się, że niema kwestji, którejby nie rozstrzygnął, niema trudności, którejby nie przezwyciężył— a jednak tam, gdzie w grę wchodzi człowiek, w obliczu zagadnień społeczno-moralnych, tenże sam rozum staje bezsilny.

Statystyka wykazuje, że bogactw na świecie powinno wystarczyć wszystkim, że dzięki ulepszeniom technicznym dwu-trzygodzinna praca ludzka mogłaby dostarczyć dostateczną ilość dóbr dla zaspokojenia potrzeb; mimo to jesteśmy świadkami ogromnej nędzy i ubóstwa. Na pierwszy plan wysunął się interes — interes, czyto jednostki, czy poszczególnych grup społecznych, przed którym wszystko ustępuje, nawet zasady etyczne. U podłoża tych zjawisk leży egoizm, posunięty do najdalszych granic, a przejawiający się w rozmaitych formach. Z niego wypływa także jeszcze jeden zastraszający objaw życia współczesnego: ogólny upadek moralności.

Ludzkość spostrzega rosnące niebezpieczeństwo, stara się dotrzeć do przyczyn zła, o którem dziś każdy mówi i pisze. Podaje się różne rozwiązania, różne drogi wyjścia z otaczającego nas chaosu, szuka się jednak tych dróg jedynie w dziedzinie materjalnej, dąży się przedewszystkiem do naprawy form gospodarczo-ustrojowych. Reforma ta wydaje się wszystkim obecnie bezpośrednią koniecznością. Dotychczasowe usiłowania w tym kierunku nie dają jednak pożądanych rezultatów, stawiają bowiem całe zagadnienie jedynie na płaszczyźnie racjonalnej. Tymczasem kwestje społeczne sięgają głębiej, poza sferę kompetencji praktycznego rozumu, zazębiają się z całym splotem zagadnień moralnych i jedynie na tak szerokiej płaszczyźnie należy poszukiwać właściwych rozstrzygnięć. Człowiek współczesny musi zrozumieć, że zło leży w nim samym, że przebudowa współczesnej rzeczywistości uwarunkowana jest przemianą psychiki jednostek. Szczególniej dzisiaj, w epoce zupełnego zapoznania wartości jednostki, należy przypomnieć i zaakcentować: „że w głębi człowieka mieszka prawda".

Niewątpliwie słowa te spotkać się mogą z zarzutem nierealności albo nawet z ironicznym uśmiechem. Być może, że zarzucą nam operowanie zwietrzałemi komunałami. A jednakże zło życia współczesnego tkwi przedewszystkiem w upadku moralnym jednostek i winno być naprawione nietylko w zewnętrznych przejawach społecznych, ale najpierw w swoich przyczynach. Reforma ustrojowa i gospodarcza zdoła tylko zmienić powierzchnię życia współczesnego, wygładzając najjaskrawsze nierówności; jeżeli jednak chcemy istotnej, treściowej przemiany całokształtu dzisiejszej rzeczywistości, należy podciąć zło u korzenia, sięgnąć do samych jego źródeł.

Walcząc z egoizmem w nas samych i grupach społecznych, przygotujemy tem samem grunt do reformy w każdej dziedzinie życia.

Przyczyn obecnego chaosu społecznego, kryzysu gospodarczego, moralnego czy też myślowego można podać bardzo wiele i wszystkie one będą zawierały pewną dozę słuszności. Nie zwraca się jednak należytej uwagi na podstawowe zło — na kryzys ideałów. Bo czyż można nazwać ideałami egoistyczne programy poszczególnych grup społecznych, których cel właściwie ściąga się do zaspokojenia potrzeb swojej grupy, albo filisterskie cele przeciętnego człowieka w dążeniu do zapewnienia sobie bytu? Nawet niby ogólnoludzki program komunistyczny ogranicza się w praktyce do maksymalnego uprzywilejowania „swoich ludzi". Nie trzeba się wcale dziwić, że człowiek dzisiejszy, którego cały wysiłek zmierza w kierunku zapewnienia sobie egzystencji materjalnej, którego pochłania całkowicie walka o byt — odczuwa pustkę i apatję, poddaje się biernie władzy niższych instynktów zmysłowych. Stajemy przed przerażającem zjawiskiem: człowiek współczesny, opanowawszy świat zewnętrzny, nie umie ujarzmić siebie. Brak mu równoważnika moralnego dla własnej słabości, brak ideału. Tylko wielki cel w życiu, świadome dążenie do ideału może podnieść skarlałego ducha ludzkiego i przywrócić mu panowanie nad instynktami zmysłowemi i wyplenić egoizm.

Na przykładzie Rosji Sowieckiej widzimy, jaką siłą jednoczącą może być wspólna idea, w którą się mocno wierzy. Wprawdzie idea komunistyczna opiera się na mylnych założeniach i prędzej czy później nie wystarczy swoim własnym wyznawcom i ulegnie bankructwu, ale dziś stanowi ona potężną jeszcze siłę, zdolną przełamać ludzką bierność i popchnąć człowieka do czynu.

Cóż jest na Zachodzie?

Jakąż silną ideę, o równie szerokich, jak komunizm, horyzontach, ma dzisiaj członek naszego społeczeństwa? Tak bystry obserwator życia współczesnego jak Bernard Shaw odsłania nam przerażającą pustkę duszy człowieka współczesnego. Ideałów pozytywnych niema, a negacja nie wystarcza już, gdyż nie wnosi żadnych pierwiastków

żywotnych. Człowiek dzisiejszy odczuwa głód idei, trzeba mu czegoś więcej, niż codziennego chleba. Jaką ideę Zachód może przeciwstawić Wschodowi?

„Jedynym wrogiem komunizmu jest Chrystus" — powiedział kiedyś Stalin i słowa jego zawierają doniosłą prawdę. Z zupełnym objektywizmem trzeba przyznać, że w społeczeństwach zachodniej Europy poza ideą chrześcijańską niema innej idei równie silnej, która mogłaby zrównoważyć siłę komunizmu. Ale podczas gdy komunizm jako spekulacja intelektualna, oparta na przesłankach materjalistycznych, zaniedbuje w swej krótkowzroczności duchową stronę człowieka i tem samem pozbawia się istotnego wpływu na życie — idea chrześcijańska oddaje prymat zagadnieniom duchowym, opiera równość i braterstwo na wzajemnej miłości, sięga do głębin duszy ludzkiej i wydobywa z niej ukryte siły do walki ze złem.

Reforma społeczna o założeniach racjonalnych i materjalnych przekształci tylko zewnętrzne formy życia, nie docierając do jego istoty.

Tylko w oparciu o doktrynę katolicką poprzez doskonalenie jednostek i przebudowę życia w duchu Chrystusowym da się zmienić oblicze świata.

Marjan Zdziechowski a młodzież.

Są słowa — dźwięki, słowa — myśli i słowa — czyny. Każde słowo prof. Zdziechowskiego, czyto głoszone z katedry, czyto wydane drukiem, było zawsze czynem — czynem moralnym, społecznym i patrjotycznym. Rzadki jest człowiek, któryby po 50 latach pracy literackiej i profesorskiej mógł sobie wydać świadectwo, że wszystko, co mówił i pisał, było zawsze zgodne z jego najgłębszem przekonaniem, z głosem sumienia, płynęło z czystej intencji służenia wysoko pojętym ideałom. Ważkie to przyznanie wypowiedział prof. Zdziechowski w przepięknej mowie, wygłoszonej dn. 18. II. b. r. podczas uroczystości wręczenia mu dyplomu doktora filozofji honoris causa. Chylimy czoła w pełnym podziwu hołdzie przed człowiekiem z jednej bryły, co nigdy się nie splamił kompromisem, co zawsze doceniał wagę wypowiadanych słów i nie lekceważył podjętej za nie odpowiedzialności.

Jubileusz jego stał się powszechną a serdeczną manifestacją całego społeczeństwa, dowodem, że potrafimy uznać i ocenić jednostkę wyjątkową, wyrastającą nam wysoko nad głowy. Kulminacyjnym punktem była akademja w przepełnionej auli kolumnowej U.S.B., najbardziej zaś wzruszającym jej momentem było chyba oświadczenie jubilata, że z całej swej dotychczasowej twórczości najbardziej ceni swe mowy rektorskie, wydane w r. 1927 pod wspólnym a wymownym tytułem: „Walka o duszę młodzieży".

Jest się nad czem zastanowić: na pierwszem miejscu stawia prof. Zdziechowski nie obszerne, głośne dzieła, które mu zjednały sławę europejską i otworzyły drogę do najwyższych szczebli naukowych, ale skromną książeczkę, zawierającą jedenaście przemówień okolicznościowych, poprzedzonych króciutką przedmową. Ta właśnie książka jest w jego przekonaniu czynem najistotniejszym, najpełniejszym wyrazem jego idej i haseł. W niej wypowiedział się cały, jako szermierz nieugięty najszczytniejszych ideałów, z tą otwartością zupełną, z jaką zwracać się można do tych tylko, którym się ufa i na których najbardziej zależy.

Nie ulega wątpliwości, że prof. Zdziechowski przyjął urząd rektora dlatego przedewszystkiem, by mieć sposobność bezpośredniego zwrócenia się do całej młodzieży akademickiej, bez różnicy wyznania, narodowości i przedmiotu studjów. Jako profesor, stykał się przeważnie ze studjującymi na wydziale humanistycznym, jakkolwiek nierzadko uczęszczali na jego wykłady, bywali nawet stałymi słuchaczami studenci innych wydziałów. Prof. Zdziechowski nie pomijał żadnej sposobności mocnego zaakcentowania swych przekonań. Odsłaniając nędze, cierpienia i winy naszej epoki, jasno wskazywał ciążący na każdem pokoleniu obowiązek kontynuowania twórczej pracy wielkich służebników idei, których dzieła komentował, wykuwania dalszych stopni na szczyt Monsalwatu. Jego wykłady przekształcały się w natchnione hymny na cześć tych, co te stopnie wykuwać zaczęli, co szli na czele wiekowego pochodu Kultury, jako króle-duchy ludzkości, — w płomienne wezwania o przyłączenie się do tego pochodu, o jego ciąg nieprzerwany. Stąd, czy mówił o Goethem czy o Schillerze, o Dantem czy o Chateaubriandzie, wykłady jego porywały zawsze bogactwem treści aktualnej. Liczne pozorne dygresje od tematu, pełne głębokich a śmiałych myśli, były w rzeczywistości najbardziej istotnym i wartościowym składnikiem wykładu, pulsującym krwią życia, wskrzeszającą z prochu wielkich zmarłych i nadającą im indygenat szlachectwa w arystokratycznej Rzeczypospolitej Ducha, w „wiecznem teraz" świata nieprzemijających idej.

Objęcie godności rektorskiej pozwoliło prof. Zdziechowskiemu przemówić do młodzieży nietylko słowami mistrzów minionych pokoleń, ale bezpośrednio. Z prawa tego korzystał przy każdej sposobności, a sposobności były liczne dzięki modnej u nas, a gruntownie zdyskredytowanej obchodomanji. I oto, jak w wykładach umiał prof. Zdziechowski wydobyć wiecznotrwałe pierwiastki z dzieł, które przyprószone popiołem zapomnienia, mogły budzić, zdawałoby się, tylko zainteresowanie historyczne i literackie, tak w przemówieniach okolicznościowych Rektor Zdziechowski odrzucał odrażający łachman szablonu i nudy, a wydobywał myśl mądrą i głęboką, ideę żywą i twórczą, właściwą rację istnienia każdego obchodu, jego pierwiastek uszlachetniający, istotny.

Mowy rektorskie prof. Zdziechowskiego z tego jeszcze względu są niezmiernie ważne, że są, jak powiedziałam, zwrócone do młodzieży, są wielkiem wołaniem o jej wartość moralną, szturmem do młodych dusz. Rektorowi Zdziechowskiemu zależało na młodzieży, w niej przedewszystkiem szukał oddźwięku, zrozumienia i przyjęcia dla idej, które ukochał, którym służy bez wytchnienia, które pragnie przekazać godnym następcom. Jego mowy rektorskie zdumiewają głęboką analizą straszliwego moralnego rozkładu, cechującego dzień dzisiejszy, wstrząsają śmiałym rachunkiem współczesnego polskiego sumienia. Dźwięczy w nich kaznodziejski, wzniosły patos Skargi, któremu dorównywa Zdziechowski siłą argumentacji, ogromem bólu patrjotycznego, trzeźwem jasnowidzeniem nieuchronnie grożącej katastrofy... którego przewyższa głębią myśli, szerokością poglądów, szlachetnym liberalizmem. Nutą zaś, najsilniej dźwięczącą w tych mowach, jest przejmująca troska o młode pokolenie, o ludzi jutra, co są już u drzwi i wkrótce losy Polski ujmą w swoje ręce. Przemawiając do nich, do młodych, uderza Zdziechowski w akcenty gorące a potężne, w ton wieszczy, apostolski:

„Ci z nas starszych, którzy to rozumieją, zbyt są małoliczni, aby zwalczyć mogli zło — i dlatego do was, młodych, zwracamy się z błaganiem: *miejcie litość nad ojczyzną.* W poczuciu odpowiedzialności

za jej przyszłe losy, rozmyślając nad tem, co ją toczy, rozkłada, wyrabiajcie myśl krytyczną, pogląd jasny, hart woli i mocne postanowienie wydobycia jej ze śmiertelnego grzechu lenistwa duchowego, bo ten jest źródłem tej nieodporności na zło, którą tu piętnuję"[1]).

„... niech idealizm ten, który światłem tak pięknem zajaśniał w dziejach myśli polskiej, będzie wam pochodnią już teraz, w latach waszych uniwersyteckich, abyście przygotować się mogli do ciężkich zadań, jakie na was czekają"[2]).

„Kończę prośbą, błaganiem, abyście z uczuciem życzliwem do serc waszych te słowa moje przyjęli. Błagam was o to imieniem tych, których blaskiem wszechnica nasza się świeci, imieniem wielkiego króla, imieniem Piotra Skargi, Śniadeckich, Adama Mickiewicza, Juljusza Słowackiego"[3]).

Czyżby takie zaklęcia miały przejść bez echa? Czyż nie powinny porwać za sobą, rozpalić tych wszystkich, dla których hasła supremacji ducha nad materją, etyki w polityce, głoszone przez Rektora Zdziechowskiego, nie są pustym dźwiękiem? Ilu się takich znajdzie?

„Zbyt daleko mam za sobą młodość moją, abym mógł złudzeniom jakimkolwiek się poddać: chcę jednak wierzyć i wierzę, że potrzeba, w której się zawierają i streszczają wszystkie inne potrzeby, potrzeba reformy moralnej w sobie i w innych, znajdzie też w waszem gronie wyznawców kilku"[4]).

Wyznawcy ci znaleźć się muszą: Żyjemy w epoce walki Czerwonej Gwiazdy z Krzyżem. Nie zamykajmy na to oczu. Czy chcemy, czy nie chcemy, musimy brać udział w tych strasznych zapasach, Linja frontu nie jest od nas odległa: — nie może jej określić ściśle żadna mapa, gdyż wiedzie ona przez własne nasze dziedziny, rozpoławia domy nasze i serca, przecina niewyraźnie falując, duszę narodu naszego. „Grzęźniemy od góry do

[1]) „Walka o duszę młodzieży": Do młodzieży, str. 11 i 12.
[2]) Tamże: Człowiek-automat, str. 39.
[3]) Tamże: Młodzież a politvka, str. 23.
[4]) Tamże: str. 22.

dołu w nędznym półbolszewizmie" — jak stwierdza z rozpaczą Rektor Zdziechowski — i, jak zahipnotyzowani, patrzymy bezradnie, jak tuż za naszą wschodnią granicą sierp Antychrysta kosi miljony istnień ludzkich, młot jego miażdży każdy przejaw indywidualności; macki piekielnego potwora sięgają między nas i paraliżują ruchy nasze swem lepkiem dotknięciem. Czegóż jeszcze czekamy?

Winnymi klęski będą nietylko ci, co przejdą na stronę wroga, ale i ci także, co wobec śmiertelnych zapasów zachować zechcą neutralność. Grzechem jest nie samo tylko czynienie zła—zaniedbanie powinności, opuszczenie dobrego niemniej poważnie obciąża sumienie. Odpowiedzialność wobec historji za oblicze tej Polski, która nadchodzi, spadnie na nas wszystkich, którzy dziś żyjemy. Od tej odpowiedzialności nie możemy się uchylić.

„Szatanowi historji, wszystkim jej ciemnym mocom i destrukcyjnym żywiołom jedno tylko przeciwstawić można: zwycięskie światło, które z głębi świadomości moralnej, z głębi wypływającego z niej uczucia religijnego i religijnego poglądu na świat wytryska"[1]).

Tego zwycięskiego światła nie wolno chować pod korzec. Czas już najwyższy, by młodzież wystąpiła do wielkiego ideowego boju, nie pod partyjną chorągiewką, która pod lada silniejszym wiatrem zwija się wstydliwie, ale pod dumnie rozwiniętym sztandarem, dojrzanem w wizji proroczej pogańskiemi jeszcze oczyma Konstantyna W. błogosławionem labarum, z widnym na niem zdala znakiem Krzyża i wieszczym, Bożą poręką zabezpieczonym napisem: IN HOC SIGNO VINCES.

Janina Budkowska.

[1]) „Walka o duszę młodzieży": Młodzież a polityka, str. 22.

„Wielki głód".

MARJANOWI ZDZIECHOWSKIEMU.

Przed głośnikami tłum się tłoczy:
— Match ... raid ... wyścigi ... — Mars, Bajazet!
Biegają chciwie setki oczu
po szeleszczących płachtach gazet.

Cierpki stadjonu kurz. W upale
niebo jak ciężkie skrzyni wieko.
Nerwy napięte, serce wali ...
Pękł granat ciszy: „Nurmi, rekord!"

W ciemnych zaułkach lęk się czai
i Nędza — Zbrodni ściska dłonie.
— Zrabował, uciekł! — Zachwyt zgrai.
Tajny Detektyw! — Głowa płonie.

Kino. Plakaty pachną farbą.
Ciemność: Marlena pieści, zdradza,
sfinksowy uśmiech Grety Garbo,
Clark Gable: Pieniądze, miłość, władza!

Błękit miłośnie się poddaje
młodzieńczym skrzydłom R.W.D.,
warczące śmigło przestwór kraje:
— Triumf! Zwyciężył! — Radość wre.

Huczą transmisje, pełzną walce, —
ręka wdół, wgórę — lewa, prawa.
Kark sztywny, jakby z drewna palce,
pot lepki — w oczach łuna krwawa.

Dziennik podawczy, stół, liczydła.
— Hallo! — Dwanaście zero siedem.
Codzienność szara, mdła, obrzydła,
kryjąca w sobie brud i biedę.

— Dyrektor! Giełdy kurs, podpisy,
ukłony, uśmiech i obłuda;
Rachunki, weksle i polisy ...
Obiad, bridge, dancing. — Nuda, nuda ...

Więc znów zawody, radjo, ekran ...
Szukają trwożni i ciekawi.
Może im rozbłysk świetlnych reklam
własnej istoty sens objawi.

A jutro, w życia zwiędłem próchnie,
co złudą barw się przyobleka, —
jak płomień, krzyk tęsknoty buchnie,
tęsknoty strasznej do CZŁOWIEKA.

Wilno, luty 1933 r.

Wanda Nowodworska.



J. Dzieślewski. Drzeworyt.

Londyńscy przyjaciele.

Ihr naht euch wieder, schwankende Gestalten...

1. SHERLOCK HOLMES.

Tolowi.

O zmroku, gdy samotność nostalgję przyniesie,
Londyn staje się nagle znanem miastem bajki —
Odwiedzisz mię, jak dawniej, kochany Holmesie,
Usiadłszy przy kominku, zapalimy fajki.

Przysunę bliżej tytoń i napełnię szklanki.
Znów spojrzę w mądre oczy, słysząc śmiech beztroski,
Podziwiać będę twoje subtelne przesłanki,
Misterną sieć dowodów i logiczne wnioski.

A kiedy mgła wieczorna zasnuje ulice,
Gdy ogni blask na mokrym asfalcie zatańczy —
Rozwiążesz czerwonego kręgu tajemnicę,
Odgadniesz sens ukryty ziarnek pomarańczy.

Gdy przyjdzie chwila czynu — z oddechem zapartym
W labirynt ciemnych ulic skierujemy kroki...
W grze naszej z chytrym wrogiem wszystkie mamy karty:
Skradziony brylant kryją West-Indyjskie doki!

Aż rozstać się wypadnie, po wykryciu zbrodni,
Przy Baker Street, w mdłem świetle gazowych latarni...
Byś przejść mógł przez ulicę do domu wygodnie,
Wstrzymają ruch z szacunkiem policemani czarni.

Samotny... Pójdę tam, gdzie zegar Parlamentu
W Tamizy sączy toń godzinę po godzinie.
...Odszukać chcę we mgle wysoki maszt okrętu,
Który z tęsknotą mą do kraju dziś odpłynie...

2. FATHER BROWN.

Spotkałem go dni parę temu, w Westminterze,
Gdy, podniósłszy ku górze swoją twarz szeroką,
Przyglądał się płynącym w błękicie obłokom
I gubił wciąż swe paczki w bronzowym papierze.

Znajoma twarz, na której uśmiech wiecznie gości,
Ten ruch, gdy z parasolem poradzić nie umie!
Mała, niezdarna postać, tak zwyczajna w tłumie —
Ksiądz-detektyw z przypadku, mądry w naiwności.

I poszliśmy — daleko, w nieznaną dzielnicę,
Gdzie zakopconych domów rząd jednaki drzemie.
Tam zdjął mi z duszy jakieś wieloletnie brzemię,
Powierzyłem mu jakąś wielką tajemnicę.

Słuchały nas poczwarne twarze na plakacie
I czarne drzew gałęzie, skręcone jak w męce.
Chodziliśmy bez celu, wziąwszy się pod ręce —
W ogromie zagubione dwie małe postacie.

Tak chodziliśmy razem długo, aż do świtu,
Aż dzień zapukał w szyby na ulicy rogu,
A on wciąż cicho mówił o zbrodni i Bogu,
O nędzy ludzkich istnień i pięknie błękitu.

3. THE PICKWICK CLUB.

Do sieci ciasnych ulic
Nie dotarł „'bus' ów" tłok.
W zaułku cichym, krętym
Tawerna „Royal Oak".

Oprawne w ołów szybki
Od hucznych krzyków drżą.
Gawędzi w drzwiach Sam Weller
Z zaspanym, tłustym Joe.

O! Tupman, Snodgrass, Winkle —
Kwiat Starej Anglji chlub!
W komplecie bankietuje
Pickwicka zacny klub.

Przy stole Mr. Pickwick
Ukończył właśnie speech.
Lśnią złote okulary —
Szacowny klubu znicz.

Przeciskam się nieśmiało
Uścisnąć mistrza dłoń;
Wardle chwyta mię z przejęciem
W przepastnych objęć toń.

— Z północy barbarzyńca...
No! zawrzał przeczeń wir.
— Kochamy się oddawna...
(Okrzyki: Yes. Hear, hear.)

Migocą świece mętnie
Poprzez fajczany dym,
Ochoczo krążą wkoło
Punch, whisky, grog i gin.

Jan Zawisza.

„Postępowcy".

Na jednem z zebrań „Smugi", poświęconem zagadnieniu „klerykalizmu w ruchu społecznym" — oczywiście wytoczono co najcięższe kolubryny przeciw klerowi, a więc: w 1847 roku zabraniano w Rzymie szczepić ospę, księża po wsiach mają gospodynie, jednego biskupa wypromowała do sakry ex-kochanka (tu mówca dał słowo honoru); Jezuici zabili Henryka czwartego; kler szedł na rękę reakcji — ergo w konkluzji należy przeprowadzić rozdział kościoła od państwa, bo to i zdrowo i demokratycznie i nowocześnie. Z utęsknieniem czekałem momentu, gdy błyskotliwy mówca wspomni o Joannie Papieżycy, przecie to taki gwóźdź w „religjanckie głowy", jak mówi p. Henryk Ułaszyn. Panowie, panowie, aż się robi nieprzyjemnie z wami dyskutować—przecie ludzi t. zw. kulturalnych obowiązuje przedewszystkiem ścisłość — przecie obecnie już czasy Syzyfowych prac minęły, „Historja cywilizacji Anglji" w nikim nie budzi zachwytów — nie wystarcza wywiesić na swoich transparentach: „postęp", „precz z klechami", aby uwierzono wam, biedni „postępowcy" lat osiemdziesiątych zeszłego stulecia. Jak z wami dyskutować poważnie?

Przecież, jeżeli powiem, że Joanny Papieżycy nie było — odkrzykniecie chórem, że panowała przez rok, a choć o niej nawet kroniki albigensów milczą, to pan Ferrero twierdzi pod słowem — że była. Kiedy powiem, że Pius IX wysłał Karolowi Albertowi w 1847 roku 17000 wojska na pomoc — powiecie, że to fałsz.

Kiedy poproszę o statystyczne i wiarogodne dane i o tych księżych gospodyniach i o tym biskupie — powiecie, że to i tak wiadomo.

Zresztą, nawet gdyby tak było, to czego to dowodzi? czy dlatego państwo jest złe, że policjant głupi? I czy z powodu przekupstwa referenta Izby Kontroli należy znieść samą Izbę? — Nikt nie będzie bronił kleru, źle spełniającego swoje obowiązki. Dziś nikogo nie zepatujecie swojem „niedowiarstwem", to było dobre Anno Domini 1905.

Gadajcie zdrowo i o Joannie Papieżycy i o tem, jak to przebiegłe pomidory wodzą na pasku „religjanckich ceremonij" biedny, otumaniony lud... Będziemy mogli jeszcze raz podziwiać krytycyzm „postępowców XX wieku".

St. Korczak.



E. Medeksza. Drzeworyt.

O prognostykach dla poezji polskiej.

Słowo wstępne.

Przed paru laty poruszone zostały szeroko sprawy, zaznaczone tu w tytule. Wtedy również (w r. 1928) powstał i niniejszy artykuł, jako referat dyskusyjny. Pisałem już, co mniemam o Broniewskim jako poecie (Słowo, r. 1931, Nr. 61, odcinek). Omawiane tu elementy poglądów Millera i Broniewskiego weszły w krew najmłodszych dzisiejszych literatów. To też, po przeczytaniu referatu swego z przed pięciu lat, doszedłem do wniosku, że jest on jeszcze zupełnie aktualny. Może nawet dziś jest bardziej na czasie, niż przed pięciu laty. Ubocznie skłonił mnie do drukowania i niedawny pobyt J.N. Millera w naszem mieście i bliska 50-ta rocznica śmierci Norwida.

Uniwersalizm. Poezja pracy. Poezja proletarjacka.

W artykule niniejszym mam zamiar poruszyć zagadnienia, zaznaczone w podtytule, wielekroć już przedyskutowane[1]). Mimo to odważę się wrócić do nich raz jeszcze i umieścić je na płaszczyźnie, oświetlonej reflektorem tradycji.

Ma rację J. N. Miller, gdy twierdzi, że „prawdziwie istotny i dalekosiężny przełom, jaki się odbywa w sztuce najnowszej, polega nie na walce ekspresjonizmu z impresjonizmem, futuryzmu z passeizmem wszelkiego typu i rodzaju"[2]), istotnie ścieranie się kierunków i szkół odgrywałoby tu rolę drugorzędną, jednak niepodobna przyznać mu racji w drugiej części tego twierdzenia, orzekającej, że istotą dzisiejszego przełomu jest przezwyciężenie indywidualizmu przez uniwersalizm.

Zdaniem Millera sztuka przyszłości narazie istnieje w nas tylko jako „uniwersalistyczna tęsknota naszych czasów". W dotychczasowej kulturze niektóre rodzaje twórczości artystycznej zawierają tylko pewne podobieństwo, słabą aluzję do przyszłej sztuki uniwersalistycznej. Do tych należą: architektura indyjska i gotycka, chóralny dytyramb grecki, tragedja attycka, misterjum średniowieczne, wreszcie choreja robocza. Wszakże wszystko to, zdaniem autora „Zarazy w Grenadzie", jest „za szczupłe i za świąteczne"[1]). Nie mogą te formy objąć wyścigu pracy, postępu cywilizacyjnego, który jest wybitnem znamieniem naszych czasów. Ogień, bez przerwy chłonący strawę w piecach hutniczych, rozsadza za szczupłą formę tych arcydzieł przeszłości[2]). Chodzi więc Millerowi o to, że „tam gdzie jest księżyc, jest i aeroplan" (Tuwim). Właściwie chodzi mu tylko o „aeroplan", bo „księżyc" należy do przeżytków. Tłumacząc to w języku niesymbolicznym, powiemy: chodzi mu o poświęcenie poezji na Tyrteusza zdobyczy technicznych i wogóle cywilizacyjnych. Przedewszystkiem w tem ma się wyrazić owa harmonja, owe zatarcie granicy między poezją a życiem. Trzeba przyznać, że autor jest w tem miejscu konsekwentny, jeżeli zważymy, że za cel poezji, a raczej za cel postępu wogóle, uważa on walkę człowieka o byt, walkę o ujarzmienie przyrody. W tej sprawie zdobycze cywilizacji, a szczególniej techniki są najpewniejszą bronią ludzkości.

[1]) Na łamach: „Przegl. Warsz.", „Wiad. Lit.", „Głosu Liter.", „Zwrotnicy", „Głosu Narodu", „Głosu Prawdy" i t d. w latach 1924-1928 oraz w książkach: L. Pomirowskiego „Doktryna a twórczość", Warsz.-Kraków 1928 i J. N. Millera „Zaraza w Grenadzie", Warszawa 1926.

[2]) „Zaraza w Grenadzie", str. 17.

[1]) „Zaraza w Grenadzie", str. 35.

[2]) Tamże.

Wszelako uniwersalizm, w pojmowaniu Millera, dotyczy nietylko zdobyczy technicznych, posiada on ponadto stronę moralną przez to, że jest „mistyczną świadomością rozleglejszego bytu, jaki się wytwarza po przekroczeniu zazdrośnych granic życia indywidualnego“ i „znajduje wyraz w cechach pewnej wyłączności ustaw wszelkich kongregacyj, zakonów, stowarzyszeń, w dumnem poczuciu zbiorowej potęgi żołnierza w wojsku, w uwznioślającej pokorze podporządkowania się rozkazowi, który z tysiąca jedno ciało czyni“[1]). Nie tu jednak zatrzymuje się Miller, posuwa się on jeszcze dalej. Nietylko jednostki, ale i kolektywy, posiadające własną indywidualność, zostają przez niego odrzucone. Jedynym kolektywem oszczędzonym i uprawnionym do przejawiania swej indywidualności w walce o byt z żywiołami natury jest ludzkość. Wymaga więc teoretyk uniwersalizmu od ludzkości, a raczej od wszystkich indywiduów, wchodzących w jej skład, „uwznioślającej“ pokory, podporządkowania się rozkazom — czyim rozkazom? — Bo tak pojęta ludzkość — to fikcja.

Przy chrześcijańskiem ujmowaniu świata odpowiedź byłaby łatwa: rozkazom Bożym, — Objawieniu. Trudno, a raczej wprost niemożliwem jest odpowiedzieć na to pytanie ze stanowiska Millera, opierającego swe życie religijne na pananimizmie[2]).

Przy pananimistycznem stanowisku, skłaniającem się ku panteizmowi, można oczekiwać owych rozkazów, którym ludzkość ma być posłuszną, tylko od genjalności ludzkiej. Tej wszakże Miller zaprzecza praw, domagając się twórczości zbiorowej.

W ten sposób ideał uniwersalizmu, przystosowany do absorbującej dziś cały rozpolitykowany świat mody apoteozowania kolektywu i zaprzeczania praw indywidualności (demokratyzm, socjalizm i komunizm), posunięty przez Millera do maksymalnych rozmiarów i przeniesiony do teorji sztuki i literatury, wykazuje swoją fikcyjność, spowodowaną pominięciem Boga osobowego, genjalności ludzkiej i (jak zobaczymy dalej) filozofji idealistycznej, które „duch czasu“ nakazuje Millerowi złożyć do „starych rekwizytów poezji“ (Tuwim).

Upraktycznienia swojej teorji uniwersalizmu chce Miller dokonać przedewszystkiem przez swoiście pojmowaną „poezję pracy“, zastosowaną nietylko w sztuce, lecz i w życiu. W tem miejscu teoretyk przyszłej poezji najmocniej się szarpie, żeby uwolnić się od kategoryj myślenia narzucających mu się ze sfery społeczno-politycznej. Wyrywają mu się głębokie i naprawdę postępowe sądy. A więc czytamy tu:—„Nikt nie ma żadnych praw do niczego, nie wyłączając życia, lecz je zdobywa przez czynne ustosunkowanie się do procesu wytwarzania“. „Praca ma sto razy poważniejsze zadania niż opędzenie minimalnych potrzeb robotnika i maksymalnych fabrykanta“. „Szczęście czy ucisk tej czy owej warstwy społecznej w procesie wytwarzania jest oczywiście w danym okresie czasu rzeczą względnie ważną, absolutnie biorąc jednak na tle kosmicznych celów koordynacji świata rzeczą śmiesznie błahą — i nie należy nigdy (jeśli się nie jest płatnym agitatorem w okresie przedwyborczym) tych najdalszych perspektyw tracić przecież z oczu“[3]).

Nader ciekawem jest to, że w sposób powyższy Miller usiłuje swoją poezję pracy przeciwstawić poezji proletarjackiej, a przez to i uniwersalizm, jako źródło poezji pracy, zostaje przeciwstawiony walce klas — źródłu programowej poezji proletarjackiej. Kamień trafia tu do ogródka Wład. Broniewskiego.

O cóż się rozchodzi Millerowi? Przecież Broniewski jest piewcą zbiorowej, fizycznej pracy proletarjatu, w którym rzekomo wszelka indywidualność ma się zatracić. Spór zdaje się schodzić na płaszczyznę wspólną obu teoretykom przyszłej poezji.

Tą wspólną płaszczyzną jest wyzbycie się wszelkiego spirytualizmu w pojmowaniu istoty i celów poezji. Obaj zgodni z „duchem czasu“ odrzucają dotychczasowe, odziedziczone po wielkich romantykach metafizyczne pojmowanie pracy artystyczno-twórczej, które Norwid określił słowami: „prac początek doprawdy jest nie tu“.

Poróżnienie zaś nastąpiło z tego powodu, że Broniewski chce wszelki wysiłek ludzki, a więc również i poezję zużyć na walkę z burżuazyjno-kapitalistycznym ustrojem społeczeństw, Miller zaś chciałby wprządz ją do rydwanu „walki o byt“, walki z żywiołami natury w celu zupełnego i skończonego ich ujarzmienia. U Millera jedyną indywidualnością uprawnioną do istnienia jest ludzkość, u Broniewskiego — proletarjat.

Broniewski wyznaje: — „Poezja proletarjacka, ta rzetelna a nie wyrosła na gruncie snobizmu poezja „pracy“ lub chrześcijańsko-socjalistycznego kazirodztwa, jest poezją awangardy, poezją czołowych zastępów proletarjatu“[1]).

Miller usiłuje zająć stanowisko ponadklasowe. „Wszyscy i wszystko“ — czytamy u niego — „ludzie i zwierzęta, wolny i niewolnik, patrycjusz i plebeusz, pan i poddany, cechowy majster i czeladnik, ciemiężca i uciśniony, kapitalista i robotnik są mierzwą, gnojem, ścierwem i padliną w naturalnej i nieprzedawnionej walce o byt człowieka, o rozrost istnienia, o władzę nad światem“[2]). Mamy więc tu jak i u Broniewskiego walkę o wartości wyłącznie materjalne, ale miejsce proletarjusza zajął wogóle człowiek. Na miejsce rewolucji i strajku stawia Miller „pracę“, która jako objaw społeczny jest pierwowzorem, czy raczej surogatem poezji pracy. Uniwersalizm jej, wyższość nad dotychczasowym indywidualnym wysiłkiem wyraża się dobrowolną współpracą kolektywu np. „przy wierceniu studni lub wbijaniu pala, przy kopaniu rowu, lub spuszczaniu drzewa i podnoszeniu wywróconego wozu“[3]).

Przykłady pracy twórczej kolektywu, dane przez Millera, może i dobre jako motyw w poezji przez piękno współdziałających ramion, w życiu jednak tracą swój urok przez przyziemność swoich celów. Są one zwyczajnym wysiłkiem fizycznym, przekleństwem rodzaju ludzkiego, który wykonywać trzeba dla zdobycia warunków egzystencji, lecz którego wykonanie zostawia po sobie tylko zmęczenie, nie dając bynajmniej tego szczęścia twórczego, które ma artysta po dokonaniu swego dzieła. W rezultacie pracy fizycznej, skierowanej wyłącznie ku zaspokojeniu potrzeb życiowych, można w najlepszym razie osiągnąć tylko to zadowolenie, o którem pisze Norwid, że się malowało na twarzach ludzi dzikich na statku „Cywilizacja“, gdy ci spostrzegli, „że wszystko dokoła jest tak równo, pięknie i gładko“. Takie uczucie człowieka dzikiego litość budzi w artyście, któremu rozkoszą jest:—człowieka, stojącego między zwierzęciem, a Bogiem, oddalać od pierwszego, a zbliżać ku ostatniemu, jako ku ideałowi skończonej doskonałości.

Tak więc Miller i Broniewski, obaj zwolennicy twórczości i pracy kolektywistycznej, stanęli w stosunku wrogim do dotychczasowych tradycyj poetyckich polskich. Ich nieporozumienie wewnętrzne (uniwersalizm czy poezja proletarjacka) nie łamie tego wspólnego frontu i walka o przyszłość poezji, rzec mogę, toczy się nie między uniwersalizmem i indywidualizmem, lecz między materjalizmem a spirytualizmem. Walka uniwersalizmu z indywidualizmem jest fikcją, urojeniem, bo przeczy podstawowym prawom, według których odbywa się rozwój cywilizacji i kultury. Wre tam ustawiczna walka twórczych indywidualności z biernemi kolektywami, lecz to nie ma nic wspólnego z powstawaniem i zamieraniem wszelkich izmów.

C. d. n.

[1]) „Zaraza w Grenadzie“, str. 26 i 27.
[2]) Tamże, str. 26.
[3]) „Poezja pracy a poezja proletarjacka“. Wiad. Lit. 1928, Nr. 19.

[1]) „Zaraza w Grenadzie“, str. 45.
[2]) „Wczoraj i jutro poezji w Polsce“. Wiad. Lit. Nr. 212, r. 1927.
[3]) „Poezja pracy a poezja proletarjacka“. Wiad. Lit. r. 1928, Nr. 19.

Czerwone dwóje.

Dziennik szkoły powszechnej... postępy dzieci... stopnie... Piątki, czwórki, trójki z plusami i minusami, a między niemi dwójki, równiutkie, okrągłe, jedna przy drugiej, jak żołnierze.

Sama cyfra 2 (postawiona w dzienniku) posiada w sobie coś płaczącego, niemiłego, nieprzyjemnego. To jakby uosobienie lenistwa, próżniactwa i nieuctwa. Niezawsze jednak. Czasem za taką czerwonym atramentem wpisaną dwójką czai się obraz nędzy.

Brudna, ciemna izba o jednem okienku i dwunastu lokatorach. Zimno, ciasno, zaduch nie do wytrzymania! „Idealne" warunki do nauki. Biedne dziecko nietylko że nie ma gdzie rozłożyć swych książek i zeszytów, ale usiąść nawet nie może, a jeżeliby się znalazł kącik, w którym można umieścić zeszyt i nie być narażonym na potrącenie — to małe rączęta grabieją z chłodu, nie mogąc utrzymać w paluszkach obsadki. Nieposłuszne litery wykręcają się w lewo i w prawo, wyskakują z linijek (oj, będzie bura za brzydkie pisanie!), mały braciszek od godziny już napełnia izbę wiercącym w uszach wrzaskiem, a drugi chce koniecznie ściągnąć ze stołu elementarz, z którego właśnie trzeba przepisać całą stronę.

„Znowu nie odrobiłaś lekcji! To ćwiczenie jest strasznie brzydko napisane!" — usłyszy się jutro w szkole. I nic dziwnego. Nauczycielka nie może wejść w położenie każdego dziecka i usprawiedliwić wszystkie nieodrobione lekcje, bo tych zebrałoby się zawiele. Być tu wyrozumiałym—to znaczy: zmniejszyć wymagania do minimum, do złych warunków dodać możliwość wykorzystywania ich przez lenistwo, obalić zasadę, że nawet jedyny wielki obowiązek uczniów, jak nauka szkolna, może być niewykonywany i omijany.

Tak! W danym wypadku wyrozumiałość nie może być lekarstwem. Tu pomóc może tylko zmiana warunków. Umożliwienie tym istotkom korzystania z nauki, stworzenia im odpowiedniej, zdrowej atmosfery, innej, niż ciasna, zimna, a pełna zaduchu i hałaśliwego gwaru izba.

Taką właśnie atmosferę znajdują dzieci w zorganizowanych w tym celu przez młodzież akademicką świetlicach.

W jasnych, ciepłych lokalach zbiera się ta dzieciarnia na parę godzin, żeby tu w ciszy i spokoju odrobić zadane lekcje.

Korzystają nawet z pomocy, to też co chwilę rozlega się: „Proszę pani! nie rozumiem tego zadania —Jak napisać to ćwiczenie? Proszę mnie wysłuchać wierszyka"! i t. p. Tłómaczy się im chętnie, robiąc przy sposobności żartobliwą uwagę o brudnych rękach i paznogciach, lub oślich uszach w zeszycie czy książce, czem zawsze bardzo się przejmują.

Po odrobieniu lekcji proszą zwykle dzieci, by im coś poczytać lub opowiedzieć. Garną się wszystkie do opowiadającej, obsiadają naokoło, jak najbliżej i słuchają z uwagą.

Główki jasne i ciemne, gładko uczesane lub rozwichrzone przytulają się jedna do drugiej, zapominając o niedawnej kłótni z powodu kleksa w zeszycie lub złamanego ołówka.

Dziecko jednak nie może usiedzieć długo bez ruchu, nie należy przeciągać struny.

Po odrobieniu lekcji i pogadance należy im się wypoczynek, parę beztroskich chwil zabawy, w której zapomniałyby o kłopotach szkolnych i o tem, że wrócić muszą do zimnej, nieopalonej izby rodzicielskiego mieszkania.

Nic też dziwnego, że wcale im się nie śpieszy do domu. Zresztą po drodze tyle atrakcji: wyślizgany rynsztok, kupa śniegu, narciarz, czasem saneczki, pożyczone u kolegi.

To też po godzinie nieraz spotyka się je jeszcze w połowie drogi do domu.

Jak te wróble, o których śpiewają przy zabawie: „Skacze wróbel po ulicy, szuka sobie ziarn pszenicy..."

W. Chmielowska.

Kryzys pracy.

Kryzys gospodarczy, jaki Polska przeżywa obecnie, czynniki fachowe, mające wpływ na politykę Rządu, uważają za jeden z etapów w rozwoju normalnego cyklu konjunkturalnego, który przebiega równolegle na całym świecie. Słuszność tego poglądu nie może być poddana w wątpliwość, o ile się założy, że ustrój gospodarczy, w którym żyjemy, nie ulega zmianom i nie podlega krytyce. Od szeregu lat bowiem znane są w świecie gospodarczym falowania konjunktur, jako zwykły i niedający się opanować wytwór gospodarki, opartej na szeroko rozwiniętej wymianie i mniej lub więcej wolnej konkurencji.

Jednak założyć tej niezmienności ustroju nie możemy, wobec ciągłych i bardzo wyraźnych zmian, jakie w życiu gospodarczem i społecznem zachodzą. Obok momentów konjunkturalnych wśród przyczyn nadmiernie ostrego kryzysu można się dopatrywać innych pierwiastków, noszących charakter polityczno-ustrojowy. Międzynarodowa sytuacja polityczna, polityka Rządu wewnątrz i nazewnątrz państwa — wszystko to wywiera olbrzymi wpływ na życie gospodarcze. Pomijając nawet związki, jakie zachodzą pomiędzy systemem podatkowym, celnym, czy kredytowym, a poszczególnemi dziedzinami produkcji, można stwierdzić teoretycznie z całą pewnością, że nadmierna rozpiętość pomiędzy okresami dobrej i złej konjunktury, oraz wyraźne przesunięcie in minus przeciętnej, dookoła której wahania konjunkturalne oscylują (widoczne np. na rynku pracy), każą dopatrywać się wad organicznych w założeniach gospodarczego ustroju, na tle którego występują one jako objaw normalny i niedający się opanować woli ludzkiej. Stąd rodzi się nieufność do ustroju, powstaje jego krytyka i szukanie nowych dróg.

Spór wśród ekonomistów na temat tego, czy kryzys obecny nosi charakter konjunkturalny czy strukturalny, jest w gruncie rzeczy zwykłą sofistyką, zwłaszcza że obu określeniom nadaje się treść nie dość ściśle zdefinjowaną.

Ujmując zagadnienie najbardziej głęboko, spór ten przenosi się właściwie na teren metafizyki i dotyka problemu odwiecznego, jakim jest rozgraniczenie kompetencji między wolą człowieka, a biegiem wypadków, od woli tej niezależnych. Łączy się z nim w konsekwencji sprawa materjalizmu dziejowego i filozoficznego.

Te rzeczy pomijamy, jako chwilowo nieistotne, chodzi bowiem o wyodrębnienie z ogólnego zjawiska kryzysu znamion szczególnie ważnych z punktu widzenia polityki socjalnej, opierającej się o podstawy etyczne.

Z etycznego punktu widzenia bezczynność kapitału, uwięzionego w inwestycjach nierentujących się w dobie kryzysu, oraz kurczenie się zysków przedsiębiorców i obrotów towarowych mogą być obojętne, podobnie jak znaczne nawet obniżenie stopy życiowej. Zjawiska te w pewnych wypadkach oddziałują dodatnio zarówno pod względem gospodarczym jak i wychowawczym.

Obniżenie stopy życiowej, zahamowanie kapitalizacji a nawet recesja w dziedzinie metod produkcji i zmniejszenie się dochodu społecznego, mimo że są źle widziane przez ekonomistów, etycznie rzecz biorąc, nie są zjawiskami ujemnemi.

Charakter objawów etycznie ujemnych noszą natomiast wszystkie te pierwiastki życia gospodarczego, które godzą w porządek naturalny, sprzyjający najlepiej rozwojowi walorów duchowych w człowieku. Wolna konkurencja, o ile stwarza uprzywilejowanie uczciwej, wydajnej i ofiarnej pracy, należy do typu pierwiastków etycznie dodatnich, o ile zaś jest narzędziem spekulacji i zysków kosztem wprowadzenia w błąd lub kosztem czynnego szkodzenia konkurentom—staje się zjawiskiem etycznie ujemnem.

Wśród objawów kryzysowych chwili obecnej szczególnie jeden, jeżeli chodzi o jego szkodliwość z punktu widzenia etyki, wysuwa się na plan pierwszy. Jest nim bezrobocie.

Bezrobocie, nie do pomyślenia przy typie gospodarki naturalnej, jest prawdziwą klęską gospodarki towarowej, indywidualistycznej przez to, iż wyrzuca pewną bardzo liczną grupę osób poza nawias człowieczeństwa. Ludzie, dotknięci tą klęską, bez żadnej winy osobistej są pozbawieni należnej każdemu człowiekowi możności zapewnienia sobie i swojej rodzinie bytu, odpowiadającego wydajności pracy. Pomoc, jaką okazuje

społeczeństwo bezrobotnym, nawet gdyby potrafiła utrzymać poziom stopy życiowej bezrobotnego narówni z poziomem stopy życiowej pracujących, nie zdoła usunąć tych ujemnych psychicznych skutków, jakie bezrobocie za sobą pociąga. Omówienie wszechstronne tych skutków wykracza poza ramy krótkiego artykułu. Wystarczy uświadomić sobie, iż praca została wyniesiona przez kulturę chrześcijańską na bardzo wysokie stanowisko w hierarchji dóbr społecznych i stanowi istotną podwalinę ustroju, opartego o tę kulturę.

Stosunek pracy do kapitału można określić tak, jak stosunek maszyny dynamo do akumulatora. Praca jest obok natury pierwotnym czynnikiem produkcji, który dopiero wytwarza kapitał. Jeżeli więc tej pracy, chociażby w zakresie ilościowo ograniczonym, odbiera się jej naturalną właściwość — zdolność przystosowania natury do naszych potrzeb, podważa się naturalny porządek społeczny, o który opierają się wszystkie istniejące i możliwe do pomyślenia typy ustroju gospodarczego, prócz gospodarki opartej na przymusie.

Krytycy obecnego ustroju przesilenie gospodarcze, które przeżywamy, mianują kryzysem kapitalizmu. W określeniu tem mieści się negatywny stosunek do typu gospodarki, nazywanej potocznie ustrojem kapitalistycznym lub kapitalizmem. Stojąc na stanowisku tylko etycznem, nie można posunąć się w krytyce do negacji samego ustroju, ale trzeba potępić te cechy ustroju, które powodują zjawiska wyraźnie szkodliwe moralnie. Zjawiskiem tem jest przedewszystkiem bezrobocie, które wynika z określonych niedomagań obecnego typu gospodarki. Niedomagania te możnaby nazwać kryzysem pracy. Kryzys pracy oznacza brak w danej chwili tych pierwiastków ustroju społecznego, któreby mogły zapewnić pracy należne jej stanowisko i całą wartość i wydajność pracy zużytkować odpowiednio, niezależnie od złej lub dobrej konjunktury. Etyczne rozważania na tematy ekonomiczne powinny pójść po linji zmierzającej do likwidacji zaostrzającego się z każdym dniem kryzysu pracy.

J. Święcicki.

Wobec zmiany ustawy.

Omówienie całokształtu zagadnień, ze stanowiska prawnego czy politycznego, związanych ze zmianą ustawy, normującej stanowisko szkół akademickich w Polsce, przekracza ramy niniejszego artykułu.

Pragnę jedynie przedstawić zmiany, jakie wprowadza omawiany projekt w dotychczasowem traktowaniu młodzieży akademickiej. Jak wiadomo, projekt przechodził ewolucję, wyrażającą się w szeregu zmian i poprawek; niektóre jednak postanowienia są stałe i te właśnie wyliczę i krótko omówię. Za takie niezmienne, odnoszące się do młodzieży akademickiej postanowienia, zawarte we wszystkich redakcjach projektu, uważam:

1. Zatwierdzanie statutów organizacyj i stowarzyszeń akademickich należy do ministra WR i OP.
2. Członkowie sądów akademickich są mianowani przez centralną władzę rządową.
3. Ministrowi WR i OP przysługuje prawo stawiania w stan oskarżenia przed sąd akademicki.
4. Sąd ten ma organizację dwustopniową. Minister ma prawo skierowania sprawy po wyroku niższej instancji do wyższej. W stosunku do wyroków tej ostatniej minister ma prawo łaski.
5. Władze administracji rządowej mają prawo użycia policji na terytorjum uniwersytetu, gdy to uznają za wskazane ze względu na interes publiczny.

Nadto w Sejmie zgłoszono poprawkę jeszcze bardziej zmniejszającą niezależność wyższych szkół w stosunku do młodzieży: W razie wykroczeń o charakterze zbiorowym minister miałby prawo wyznaczyć nadzwyczajną komisję dyscyplinarną, w której skład mają wprawdzie wchodzić profesorowie szkół wyższych, ale niekoniecznie tej wyższej uczelni, na terenie której komisja ma działać.

Wszystkie powyższe zmiany uważam za dążenie do zapewnienia władzom administracji rządowej możności każdoczesnej ingerencji w sprawy wewnętrzne uniwersytetu i wprowadzenia, chociażby na drodze represyj administracyjnych, pożądanego biegu spraw.

W związku z tem należy wspomnieć o metodach działania niektórych grup młodzieży akademickiej, dających się obserwować w ostatnich latach.

Nie trzeba być zbyt uważnym obserwatorem, żeby stwierdzić, że metody, nie licujące z godnością obywatela i akademika, są stosowane na szeroką skalę. Przykładów dostarczy każde zebranie międzyorganizacyjne, nie mówiąc już o wystąpieniach na szersze forum. I tu wyłania się pytanie, czy w drodze presji administracyjnej, przedstawionej powyżej, można dojść do pożądanego skutku. Czy to jest droga właściwa do osiągnięcia sanacji stosunków?

Pomijam już kwestję, że ustawa taka stwarza pole do nadużyć władzy, że organ administracji rządowej, motywując zarządzenie względem na bezpieczeństwo publiczne czy dobro narodu, ma możność realizacji postulatów innych, może całkiem sprzecznych z tem bezpieczeństwem czy dobrem, — chodzi mi o to, czy drogą presji z zewnątrz da się zmienić oblicze młodzieży uniwersyteckiej, czy osiągnie się jakikolwiek trwały, pozytywny rezultat? Czy przez wprowadzenie np. policji do sali wykładowej osiągnie się tam spokój? Nie. Bo nie trzeba tu zbyt biegłego psychologa, żeby zrozumieć, że po wyjściu policji będzie status quo ante — pozytywnych rezultatów żadnych.

Zdaniem mojem, podniesienie poziomu akademików jest konieczne, jednak odrodzenie życia akademickiego wyjść musi od samej młodzieży. Przez pracę w kierunku pozytywnym, przez kierowanie się wobec przyjaciół i nieprzyjaciół etyką katolicką, przez pracę nad pogłębieniem duchowem własnem i innych — prowadzi droga do poprawy panujących stosunków. Nie dokona tego żadna ustawa, przewidująca najostrzejsze chociażby represje i ingerencje władz administracyjnych.

Stosunek projektu ustawy do nas, młodzieży akademickiej, to tylko mała część zagadnienia. Pozostaje jeszcze szereg kwestyj, nad któremi dominuje sprawa wolności nauki i nauczania. Tu literatura jest obszerna, nie będę tej kwestji omawiać, stwierdzam jedynie, że wypowiedzenia się wszystkich prawie powag świata naukowego Polski wyraźnie wskazują, że nowe projekty w całym szeregu postanowień krępują wolność nauki i nauczania (por. „W obronie wolności szkół akademickich", Kraków 1933 r.). Stanowisko tedy ogółu młodzieży akademickiej wobec omawianej ustawy winno być negatywne.

Jednak naprawdę niedźwiedzią przysługę wyświadczają nam ci, którzy w obronie autonomji wyższych uczelni pozwalają sobie na takie awantury, jak np. obrzucenie profesora jajami, bowiem to, jako przykład niskiego poziomu, służy za broń myślącym inaczej.

Kończąc, reasumuję: akademicy wobec zmian ustawy o szkołach akademickich winni zająć stanowisko zdecydowanie negatywne, bez mieszania jednak jakichkolwiek tendencyj politycznych, a w walce o swoje postulaty muszą zachować prawdziwą godność akademika.

Władysław Kwieciński.

Wydawca i Redaktor Leokadja Małunowiczówna. ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ Drukarnia Archidiecezjalna w Wilnie.